

Świeżość przewalała się z zepsuciem, ład szarpał się z bezceństwem, bolesne piruety i jęk orbitowania wypełniły błogość doliny. Chaos zatrąty zakrólował. Powietrze zadrgało jak epileptyk. Niebo przykryło się ciemną, ciężką kołdrą. W końcu huknęło błyskami. Zapłakało gradem. Zbuntowany firmament stłukł lodowatymi drobinkami niecny tandem. **Chuć i Swawola** szybko się pozbierały i pognały dalej... któż to wie, dokąd i po co... wróćą czy nie wróćą...

A **Dobro** niespiesznie wstało i cicho jak trusia stanęło przy Samosiejce. Obserwowało ze wzruszeniem, jak Samosiejka znów wydłuża korzenie w poszukiwaniu nektaru dającego zapomnienie. Jeden łyczek, drugi łyk, trzeci haust... I już nie było historii o junackiej fecie...

Dobro zwołało posiedzenie. Zaprosiło na spotkanie księżyc, gwiazdy i słońce, wysłało prośbę do powietrza i niebieskiej kopuły, posłało wietrzny zew do lasów i borów, zakołatało do wrót pól i łąk, ukloniło się nisko przed górami i pagórkami, zstąpiło do dolin, zatrąbiło do strumyków, rzek i jezior, spowiło w mgłę posłańców do mórz i oceanów, zapukało nawet do siedziby Niewidzialnego Ducha Wszechrzeczy. Nikt nie odmówił zaproszenia. Wszyscy usiedli w kręgu, który liczył nieprzejrzaną niezliczoność. Pozostali nieruchomi w ciszy, która przemówiła głośniejsz niż orkiestra czterech żywiołów. Ułożyli wzniosły plan, który stał się jawny wyłącznie wobec śnieżystych ramion kresu. A anioł lekuchno podfrunął na sennych skrzydłach do Samosiejki i wręczył jej dar – siłę głazu, która przetrwa nawet wtedy, gdy bałwany nikczemności wrzuca kruchość do lochu, gdy język szakala będzie obrzydliwie kłamał i obrzucał oszczerstwami,

gdy zmienne koleje losu przyniosą udrękę i okrucieństwo, gdy szczywany lis będzie chciał przechytryć mądrość cnoty, gdy zły omen będzie krakał o długich dniach bez miłości, gdy duchy wojny rzucą prawość do walki z mieczem najpodlejszego, gdy upokorzenie sięgnie zenitu, gdy jedynym towarzyszem duszy będzie samotność, gdy będzie pozostawać długie dni bez pokarmu i wody w upalnych piaskach pustyni, a kiedy indziej zamrozi się jak lód na jeziorze... Potem rozstali się, rozrzucając wokół Samosiejki ziarna wiary – serpentynę bez horyzontu, bez dobrodziejstw aksjomatów, wędrującą po bezliku zagadkowości, wprowadzając głębiej i głębiej, unosząc wyżej i wyżej. Odchodząc, nucili chóralnie referen odwiecznego prawa Życia: *Dzikość, która tobą niechlubnie zawładnęła, zostanie przekazana Prawu Bezmiernej Natury. Od teraz będziesz nabywała mądrości sprawdzanej ogniem. Twoją nieprzebraną tarczą obronną stanie się cierpliwość, największym sojusznikiem – czas otwierający bramy do strzeżonych źródeł wiedzy.*

Samosiejka znajdowała się już jednak w głuszy i wydawało się, że nie słyszała melodii do niej skierowanej. Zgasła i popadła w stan odrętwienia. Przestała się cieszyć szczęśliwością i być tu i teraz. Błądziła po kaczych dołach, pozbawionych blasku zaufania, wałęsała się po pustkowiach, gdzie wszystko wydawało się jej wrogie.

Nie pytała już o sens losu ani o swe powołanie. Zapętliliła się w sobie tak bardzo, że nie pojmowała, co ma robić ani jak to robić. Oddała się władzy niemocy i marazmu.

Pochyliła wierzchołek, zamiast nieść go w górze, czując, że pokonywanie życiowych wyzwań to wyczyn daleki od jej

obecnej kondycji. Była jednak taka cząstka w jej duszy, taka siła, z którą ona w tym czasie co prawda nie miała kontaktu, ale która tkwiła w niej i pozostawała nadal dziewicza; umiała mówić językiem Boga i słuchać zmysłem Boga. Ta część pochodziła z zaświatów, codziennie odradzała się w żywocie poza światem, a potem wracała do namacalnej egzystencji, później zaś znów krążyła pomiędzy widzialnym i niewidzialnym i czekała... Czekala, czekała i wiedziała, na co czeka, aż...

...któregoś dnia strasznie powiało. Powietrze świstało i huczało głośno, przeszywało swym jękiem wszystko, co żywe. Orkan harczał piaskowym wirem niczym morski smok żądzą krwi. Wietrzysko hulało i dmuchało, mając sobie za nic czynione spustoszenie. W końcu zawył jak dzika bestia, wyrывая wielkie drzewa z korzeniami.

Samosiejka uzmysłowiła sobie, że to jest właśnie ten moment, na który czekała. Poczula impuls, by uciec od swych korzeni. Wraz z kolejnym podmuchem sprężyła się w sobie, napięła mięśnie konarów z całych sił i z nieznaną sobie dotąd gigantyczną mocą oderwała się od podstawy. Zostawiła swoje jedyne w swym rodzaju jądro i wyruszyła w rozległy świat bez niego.

Wiatr chwycił ją gorączkowo, bezlitośnie tłukł o podłoże, a następnie gwałtownie unióś w górę. I tak po kilkakroć... Porywał Samosiejkę wysoko i rzucał ostro w dół... Obijał o ziemię i dźgał sprężonym powietrzem.

Warczał jak wygłodzony wilk i żądlił jak złośliwa osa. A kiedy momentami cichł, wtedy latał razem z nią swobodnie, by za chwilę znów się złościć i tarmosić ją na wszystkie strony. Koniec końców sam się zmęczył i złagodniał.